

218

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

Boso, ale w ostrogach

Książki Stanisława Grzesiuka, szczególnie „Boso, ale w ostrogach” i „Na marginesie życia” spotykały się niejednokrotnie z kontrowersyjnymi ocenami. Są to utwory pisane z niewątpliwym talentem i nerwem, a tak zwana „prawda życiowa” i dynamika narracyjna sprawiają, że szerokie masy czytelników, poszukujących przede wszystkim atrakcyjnej fabuły, chętnie biorą powieści Grzesiuka do ręki. O poczynności obu książek świadczą wysokie nakłady i wznowienia. Spotykamy się więc tutaj z przykładowym dowodem prawdy na masowe zapotrzebowanie na bohatera powieściowego, który u Grzesiuka nie może być nazwany, niestety, bohaterym pozytywnym, lecz wręcz przeciwnie — negatywnym, a na domiar (z powodu wysokich umiejętności pisarskich autora) oddziaływać szkodziwie na wyobraźnię czytelników.

Sprawa przedstawia się o tyle poważniej, że Grzesiuk trafił z mistrzowską celnością w neuralgiczne miejsce naszego życia społecznego, a więc — w „cwaniactwo” (które po okupacji i stałej walce ekonomicznej z hitlerowcami przetrzymało się w groźne w skutkach nadużycia gospodarcze na mniejszą i wielką skalę w naszym państwie ludowym), we wzrastający zastraszający alkoholizm i w nie mniej groźną znieczulicę, a nawet rzewną pobłażliwość lub niekiedy podziw dla pijaków i dla wymigujących się od rzetelnego wykonania obowiązków markierantów, dekowników itp. „Dwa tygodnie dobiegały końca. Cały czas lawirowałem tak,

żeby nie chodzić na żadne ćwiczenia (przysposobienia wojskowego, — dopisek mój), i udawało mi się” („Boso, ale w ostrogach”). „A jak ty sobie radzisz?” — pyta narrator. „Tak jak zawsze — kradnę. Przed wojną byłem złodziejem, to nie wiem dlaczego miałbym zmieniać zawód, tym bardziej, że teraz mam kogo obrabiać. Obrabiam Niemców, nieczynne fabryki i mieszkania, których właściciele uciekli za granicę” (str. 195 w „Boso”). Nie żałuję, bynajmniej, Niemców (choćby bardziej celowy wydawał mi się inny rodzaj walki z hitleryzmem), ale co do fabryk, które w przyszłości miały wejść w skład majątku narodowego, i co do mieszkających ludzi (niekoniecznie — z sanacji), którzy na wezwanie prezydenta Warszawy Starzyńskiego opuszczali stolicę i trafiali na zaleszczycką szosę, zacytowane zdanie jest nie do przyjęcia. A trudno chyba zaprzeczyć, że aprobowane przez szerokie masy czytelników (którzy na ogół utożsamiają się z bohaterem powieści i entuzjastują się ich udanymi „akcjami”) postawy życiowe prezentowane przez Grzesiuka nie są chwalebny wzorem postępowania. Podobnie rzecz się ma z powieścią „Na marginesie życia”, będącą zapisem pobytów Grzesiuka w sanatoriach przeciwgruźliczych, w której lekceważenie przez pacjentów terapii zalecanej przez lekarzy, urąganie elementarnym przepisom regulaminów sanatoryjnych, „wycieczki” na wódkę, palenie papierosów itp. urastają w wyobraźni bezkrytycznych czytelników (a takich jeszcze, niestety, posiada-

my wielu!) do rangi porywających wyczynów, a co najmniej — do kawałów, przyjmowanych z pobłażaniem. Ale czy potencjalni kuracjusze, którzy przeczytali „Na marginesie życia”, a potem znaleźli się, nie daj Boże, w analogicznych warunkach, nie zechcą naśladować za prezentowanych atrakcyjnie i z dużym talentem wzorów! We wspomnieniu — przedmowie do tej powieści czytamy: „Człowiek „z dołów” drogo płacił za zdobywanie kultury — a oto głupcy, którzy otrzymali ją za darmo, chcą wyrzucić te zdobycze przez okno”. To zdanie prosi się o to, żeby je strawostować: „Państwo ludowe ponosi wysokie koszty na bezpłatne lecnicтво otwarte i zamknięte, a lekko-myślni czytelnicy „Na marginesie życia” w spotkaniu z chorobą będą z brawurą powielać atrakcyjne wzory zapisane przez utalentowane go pisarza i utrwalone w ich pamięci”. Na zakończenie tych zastrzeżeń muszę dodać, że w żadnym razie nie można się zgodzić z poglądem autora artykułu w programie teatralnym, że hece alfonsov, nożowników i złodziejasków były buntem przeciwko „niesprawiedliwości społecznej”. Proletariat walczył przeciwko krzywdzącemu porządkowi społecznemu za pomocą innych sposobów, nie używając noży sprężynowych, które służyły ludziom z marginesu społecznego jako narzędzia do załatwiania porachunków osobistych lub rozbójniczych napa-
dów.

Byłoby, oczywiście, niesprawiedliwie — nie doceniać hartu osobistego i heroizmu autora, ale trzeba sobie powiedzieć, że przy takim „pomieszeniu materii” złego i dobrego, jakie panuje w jego utworach, tylko wytrawny czytelnik od dzieli rozsądnie ziarna od nieobyczajnej plewy. Powstaje zatem pytanie, czy takie wzory „bohaterstwa” ze sprężynowymi nożami w kieszeniach, „wycieczkami” z sanatorium

na „ćwiartuchnę” itp. nie są w naszych polskich warunkach społecznie szkodliwe i czy rozpowszechnianie ich w wielotysięcznych nakładach mieści się w pojęciu polityki kulturalnej państwa ludowego?

Należy poczytać za zasługę Ryszarda Pletruskiemu i Krystynie Wodnickiej, autorom libretta, że w znacznym stopniu stuszowali obrazy rozpraw nożowniczych i eliminowali sceny kradzieży i pijatyk, które w powieści dominują nad wysiłkami Staszka obalającego z uporem przeszłości do awansu społecznego i stopniowo odsuwającego się od „ferajny”. Przypuszczam, że niemała w tym również zasługa inscenizatora i reżysera. Dzieło sceniczne Romana Sykały samo w sobie wymagałoby szerokiej analizy. Nieczęsto oglądamy na scenach łódzkich widowiska tak zwarte, a zarazem potoczyste, w których obraz za obrazem następuje niemal z naturalną konsekwencją i artystyczną koniecznością. Koncepcja reżysera zbiegła się z zamysłem Barbary Fijewskiej, której choreografia, efektowna a oszczędna, dobrze wyrażała to, co się mogło dziać na Czeraniakowie. Również muzyka Jana Tomaszewskiego, dynamiczna, bez nadmiaru nastrojowości, dobrze akcentowała rytm i wybuchowość perypetii życiowych mieszkańców dzielnic sąsiadującej z Powiślem. Natomiast nasuwa się wątpliwość co do scenografii. Naturalistyczne dekoracje przypominały bardziej jakiekolwiek dachy w podrzędnej miejscowości letniskowej niż ponure czynszówki Czerniakowa. Wreszcie, strona aktorska! Wszyscy wykonawcy przeszli — jak to się mówi — samych siebie, wszyscy potrafili utrzymać widzów w napięciu od początku do końca. Powinienem właściwie przepisać całą obasadę, żeby nikogo nie skrzywdzić. Nie zrobię tego, lecz pozwolę sobie ulec sympatiom, jakie szczególnie łączą mnie (jednostronnie!) z aktorami Teatru Powszechnego. A więc,

zawsze niezawodny, tym razem acy zabawny i pełen serdecznego ciepła Czesław Przybyła w roli pijaczyny. Świetna i bez szarży w roli przedwojennej stróżki (tak się wtedy mówiło, nie „dozorczyni” — jak w programie) Jadwiga Anrzejewska, która z nieporównanym, pogardliwym lekceważeniem wymachiwała miotłą pod nosami granatowych policjantów. Porywczego, a przecież rozsądnego, gdy trzeba, Staszka grał z przekonaniem i zapałem Michał Szewczyk. Z umiarem, i może przez to właśnie — bardzo sugestywnie Władysław Skoczyła przekazał dramat Ojca. Melodramatycznie, bo tylko ten styl był właściwy dla roli córki Koryntu zagrała rolę Feli — Halina Pawłowicz (nawiasem, w tym musicalu jest wiele z melodramatu). Groźny w każdym geście i niedbały pozornie mimach był przywódca bandy Janusz Kubicki. Również pełen wewnętrznej dynamizmu był Jerzy Szpunar w roli nożownika, zawsze gotowego do użycia sprężynowca. Jako „element” pojedynczy i łagodzący spory wystąpił w roli majstra Jerzy Przybylski. Bardziej za-kłopotani powierzona im władza niż przekonani o możliwościach wyegzekwowania jej, reprezentowali granatowych policjantów Tadeusz Sabara i Marian Wojtczak. Dowcipnie zbudował swoją rolę Zbigniew Niewczas jako ten, co skarży się na zanik pamięci w obawie przed opryskiem, który mu „zasunął”
nóż.

Obawiam się, że ten świetnie wyreżyserowany musical zablokuje repertuar Teatru Powszechnego dłużej niż na pół roku.